

George Gordon Byron

Giaur

BRYK  PL



Opracowanie lektury dostępne na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

tłum. Adam Mickiewicz

Julianowi Niemcewiczowi
w dowód głębokiego szacunku
poświęca TŁUMACZ

PRZEDMOWA TŁUMACZA

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonywają się co dzień czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich można by ułożyć małą bibliotekę: nie myślimy poruszać tej pleśni krytyczno panegirycznej, głęboko już zasypanej innymi ważniejszymi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązany powiedzieć zdanie swoje o dziełach Autora pod jednym przynajmniej względem, — pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność i antysocjalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emisariuszem Szatana, a wszyscy zgodzili się, że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami współczesnymi i późniejszymi, należałoby równą zachować metodę oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej najniezwyklejszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucji. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została gilotynami i zagłuszona grzmotem wojny europejskiej. Stronnictwa osłabione wzajemnym mordem ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbroił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego odrętwienia; o tych wielkich pytaniach które świat zaburzyły, lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłość, bo haniebna, — boją się pomyśleć o przyszłości, bo okropna, — i bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć wśród takiej literatury, gwałtem wyrwała się za jej sferę. Młody Autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a z krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekceważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami, nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografii.

Zalśniony gniewem, złorzeczając obłudzie.

Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie.

Korsarz, *str.* 98.

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek z sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojej, wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolicie zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy zakochani w swojej przewrotności i głupstwie. Poeta zostawia im jedną przynajmniej cnotę, jedno szlachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pogрузić się w zupełną moralną ciemność, i świecąc na dnie sumienia, tym wyraźniej daje widzieć wszystkie jego szczyrby i plamy.

Ludzie Byrona mają *sumienie*. I tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był solistą, a więc nie znał różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko w rozumkowaniu, i za cel sobie położył, że wszystkiego wytłumaczyć się, a raczej wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największym spodleniu moralnym, nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach, i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisteryą, czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak mu tylko czasu, bo wszyscy zbyt rychło giną. Czytelnik pewny jest, że Giaur, ani Korsarz, ani nawet Don-Juan nie skończyliby jak Panglos, albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą soliści ochrztili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi, już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić

taką solistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkimi trudnościami dogmatów i tradycji, kłął i dąsał się jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; ależ mu brakło równie jak jego bohaterom — czasu! Może dlatego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter-Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem powiedzieć można, że ruch umysłowy dążący ku solisterii on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem Poetów, również Napoleona uznano za jedyne go poetę Francji. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, która by jedno z tych bereł dźwignąć mogła.

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wrózący noc długą; drugi raz jako te chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków, niepewnych w swoim dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości.

PRZEDMOWA AUTORA

Rozerwane ułamki niniejszego poematu, składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukarana została sposobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody weneccjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcijanie mniej są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy Arnauci na chwilę wyparli z Morei, znowu, po bezskutecznym wtargnięciu Moskalów, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tym, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecję. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleźć, nawet w dziejach prawowierne go ludu muzułmańskiego.

GIAUR

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokla skale,
Która wyniosłem niebo czołem bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

*

Wyspy szczęśliwe! w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku,
Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklane morza cichego oblicze
Na falach drobnych jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
Zdają się igrać rajske wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliźnie,
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,
Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!
Tam na skał wierzchu, u ścieku poników
Błyszczą się róża, sultanka słowików,
Jej brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,
Nietknięta wichrem, niezwiędła od chłodów
Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
Balsamy, których niebo jej udziela,
W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,

Niebo wzajemnie, co dzień jej użycza
Świetnych kolorów swojego oblicza.
Tam, w polu tyle jest kwiecica dla wianków,
Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam, groty dla nich ciosane umyślnie;
Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie,
I nocą z małej czatuje galery
Na bezpiecznego żeglownika stery.
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia;
Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela;
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała
Na ogród bogów, i hojnie nań zlała,
Tyle bogactwa, piękności tak wiele
Jakby we własnym zakochana dziele,
Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka,
I dziś natura wpuszcza tu człowieka,
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,
Ogród Edeński na nowo wypleniał,
I jako leśny dzik kwiecie wytłacza
Niepokropione znojami oracza
Ani znające ręki ogrodnika!
Tu kwiecie samo dokoła wynika,
Za tyle wdzięków, za taką obfitość
Uprasza tylko człowieka o — litość.
Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem.
A serce ludzkie, chucią i rozbojem.
Czyż kraje światła na nowo ogarnie
Noc namiętności rządzących bezkarnie?
Patrząc myślibyś, że tu zbuntowani

Wojsko aniołów zwalczyli szatani,
I cherubinów trony dziś przywłaszcza
Tłum, który piekiel wyzionęła paszcza.
Tak śliczny kraj ten ojczyzna rozkoszy,
Tak brzydki tyran, co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnym oglądał posłaniu
Piękne oblicze zaraz po skonaniu
Nim dzień przeminął, pierwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bólów jestestwa;
Nim śmierć ostatnim przyciśnięciem ręki
Zgładziła rysy gdzie chronią się wdzięki:
Kto pomni twarz tę anielsko-łagodną,
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!
Zda się w letargu zasypiać głęboko,
Zda się być żywą? — gdyby nie to oko,
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność
I straszy widzów i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,
Nim ta godzina — w tej jeszcze godzinie
Śmierć tak łagodnie niewidomie władnie,
Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!

Dziś do tej twarzy Grecyja podobna,
Martwa od dawna, lecz dotąd nadobna;
Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza,
Jej wdzięk jest tylko uśmiech pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały.
A jej rumieniec, chorowita krasa
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odbłysek zachodnich promieni,

Co się wokoło ruiny czerwieni,
Ostatnie czucie, co żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje
Lecz już swej milej ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twej skały!
Jakże pamiętne! bo każde z nich było
Kolebką swobód lub sławy mogiłą.
Arko potęgi! Dziś, czyliż tak mało,
Czyż tylko tyle po tobie zostało?
Wstań niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz: ten wąwóz czy nie Termopile?
Ty z duchów orlich wyrodzony płazie
Na Leonida gnieźdzący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy — wyspy Salaminy!
Powstań! te dawne zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:
Z popiołów przodków, może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imię pomiędzy imiona,
Na których wzmiankę, pochlebstwem pijani
Zwykli się trzeźwić, zwykli drzeć tyrani.
Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi
Zginie, lecz tyle synom swym zostawi
Sławy, nadziei, że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem — Grecyja jest księgą

W której wiekami stoi wypisano,
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wzniesli;
Wolni nie dbają chociaż czasu fala
Wszystkie grobowce i pomniki zwała,
Większe pomniki zostały nad niemi,
Zostały góry ich ojczystej ziemi.
Tam muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

Długo by mówić — przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie —
Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody — chyba on sam siebie
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha.

*

Mieszkańcy ziem tych! macież wy powieści
Dawnym podobne? i których by treści
Natchnęły muzę do polotów szczytnych,
W ślad muzy greckiej wieków starożytnych,
Gdy ludzie byli ziemi swojej godni?
Dziś do niczego nie zdadni — prócz zbrodni.
Z ognistą duszą, co by mogła siły
Natchnąć do dzieła godnego pomników,
Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły
Niewolni — gorzej — słudzy niewolników,
Zmazani całą szkaradą co brudzi
Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;
Nie mają nawet tej dzikich odwagi,

Piersi gotowej przyjąć oręż nagi;
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem stare oszukaństwa;
W tym tylko widać Greków dowcip dawny
I z tego tylko Grek na wschodzie sławny.
Daremnie wolność tylekroć zaklina
Aby skruszyli jarzmo poganina,
By kark podnieśli zgięty łańcuchami!
Nie — Grecy! — nie mam litości nad wami.

Przecież z Grecyi wziąłem te powieści
Z czasów niedawnych i żałośnej treści.

*

Z dala, wśród morza pogodnego błyska,
Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska
Statek; rybacy poznali z obrotów,
Że to piratów statek lub Majnotów;
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinąć
I brzeg niepewny z daleka ominąć,
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,
Choć rybim łowem barka przeciążona,
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę,
Aż dopłynęli do Porto-Leone,
Gdzie ich noc czeka, — noc prawdziwie godna
Kraju wschodniego — cicha i pogodna.

*

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze?
Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze,

Kopyt tętent jak grzmoty po grzmotach
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.
Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,
Jak gdyby świeżo z morza zszumowana.
Wieczór już uśpił fale morskich toni,
Ale nie serce tej dzikiej pogoni.
Groźnie na jutro niebo się zachmurza
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.
Nie znam cię, rodu twego nienawidzę,
Ale w twych licach takie rysy widzę,
Które w pamięci kiedy się raz wrażą,
Z czasem się głębiej werzną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na twym smagłym czole.
Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,
Zgadłem, że Turek takiego człowieka
Powinien zabić — lub niech sam ucieka.
Tam — tam — poleciał — śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,
A chociaż z taką szybkością prześcignął,
Choć jak latawiec tylko w oczach mignął,
Jego wzrok, jego twarz na kształt pieczęci
Wciśnione czułem w głąb mojej pamięci.
I długo w uchu huk kopyt słyszałem
Czarnego konia lecącego cwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki
Ocieniającej głębinę zatoki,
Obleciał wkoło, znowu na dół gonił.
Skałą od moich oczu się zasłonił.
Zgadłem, dlaczego: temu, co ucieka
Jest obrzydliwą źrenica człowieka,
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy

Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.
Zbiegając z góry nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie rzucił.
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył.
Wtem nagle stanął, konia w bok zatoczył,
I patrzy z góry, na strzemionach staje,
Czegóż on patrzy, tam, w oliwne gaje?
Księżyc na nowiu wschodzi zza gór grzbietów,
Błyszczą nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz Bajramu uciecha;
Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki,
Przecież błysk widać każdej tofaiki.
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu,
Dziś... Lecz ty, Giaurze, kto jesteś? co znaczy
Twój ubiór obcy — i twój wzrok rozpaczy?
Co cię obchodzi Bajram? po co czekać
Naszego święta lub przed nim uciekać?
On stał — wtem nagły strach lica mu ścisnął,
I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten nie był jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,
Ale jak bladość marmurowej bryły
Powiększająca ciemnotę mogiły.
Brwi nasunione, osłupiałe oko.
Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko,
I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.
Stał, czy uciekać, czy gonić, niepewny;
A wtem koń zarżał niecierpliwy zwłoki,
I rzenie echem odbiły opoki.
Giaur za miecz porwał, i szczęk rękojeści,
Wybił go nagle z tej niemej boleści,
Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;

Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:
Dalej, w cwał koniu, tu idzie o życie! —
Znowu koń czarny zagrzemiał po granicie;
Chyży jak dziryt — leci wzdłuż zatoki,
Dalej ku morzu — wpadł między opoki.
Nie widać twarzy — znikła strusia kita,
Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze
I nieruchomy, chwilę stał na drodze,
Chwilę — i znowu opoka zabrzmiała,
Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.

Straszna to chwila, w której duch rozkręci
Za jednym razem cały zwój pamięci,
I w jedną drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
Kto nienawidzi, kocha się lub boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
Chwila spoczynku, wśród potoku zdarzeń,
Kto zliczy, ile mieści wyobrażeń?
Bo choć dla czasu zdaje się nicością,
Ona dla myśli jest całą wiecznością.
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie,
Może w myśl jedną zgromadzić sumnienie,
I w jednej chwili wycierpieć od razu
Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

*

Przeszła godzina — Giaur jak cień przeminął.
Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął?

W czarnej godzinie przybył, jak zesłana
Od niebios kara za grzechy Hassana,
Przyszedł i smętarz zrobił z baszy domu,
Przyszedł i odszedł jak wichher Symomu,
Co wieje bożym obciążony gniewem
I za którego śmiertelnym powiewem
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,
Choć wiosną nawet nie zruca żałoby,
Jeden, co wiernie oplakuje groby!

*

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,
Komnata jego od sług odbieżana,
Pająk samotnik, na ścianach się czepia
I szpary szarym całunem zasklepia.
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,
W jego haremach gniazdo niedoperzy,
Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.
W ogrody czasem dziki pies przybieży,
Spragniony wyje na suchą fontannę,
Stoją wód łoża z marmuru usłane
Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły,
Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały.
Łagodząc nieba wschodniego upały,
Niegdyś tryskając srebrnej rosy tęczę
I fantastyczne wirując obręcze,
Rozkosznym chłodem rzeźwiły dokoła
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było mile blaski gwiazd pogodnych

Widzieć odbite na tych łukach wodnych,
Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
Bawić się lubił u kaskady ścieku;
Tu, drzemiącemu w matki swej objęciu,
Piastrunka woda śpiewała dziecięciu.
Hassan młodzieniec na te wodotryski
Poglądał, siedząc obok odaliski,
I śpiew jej miłszy zdawał się mieć tony
Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.
Lecz Hassan stary, nigdy sennej skroni
Wieczorem u tej kaskady nie skłoni:
Z marmurów woda uciekła chłodząca,
Z serca Hassana wyszła krew gorąca.
Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:
Ostatni ludzki głos echem odbity,
Był to krzyk na śmierć ciągnionej kobiety.
Głos skonał — odtąd milczą te pałace,
Wiatr tylko oknem otwartym kołace.
Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje
Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;
Tu, gdyby ludzki jęk odbiły echa,
W jęku tym jakaś byłaby pociecha,
Ten jęk by mówił: «Nie wszystko skonało!
Jedno tu życie ludzkie pozostało.»
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
Izby i sale puste — dotąd całe.
Dach jeszcze cały, chociaż ząb zniszczenia
Roztacza ciągle ściany i sklepienia.
Lecz Zgroza siedzi przed bramą na straży,

Sam Fakir do wrót zbliżyć się nie waży,
Derwisz ubogi nie przestąpi progu
Za chleb i za sól podziękować Bogu:
Nędza i Zbytek uchodzą na stronę
Niepowitane i nieugoszczone;
Pałac, gościna wiernego narodu,
Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana
Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

*

Słyszę dźwięk z dala końskiego kopyta,
Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta.
Już bliżej — Turcy — już widzę turbany
I w srebrze kutych pochwach atagany.
Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
Zapewne emir, bo w zielonym stroju.
«Ho! kto ty?» — «Salem! waszej jestem wiary,
Emirze, widzę, że wieziesz towary;
Widzę, że wór twój jest ciężko ładowny,
Ostróżnie wieziesz — musi być kosztowny.
Może do portu śpieszysz dla noclegu? —
Jestem przewoźnik — mam łódkę u brzegu.»
«Zgoda — rzekł Emir — pośpieszaj, czas nagli,
Odbijem cicho, nie rozpinaj żagli,
Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj,
I szybko, cicho, podnad brzegiem zmierzaj,
I wieź nas prosto, pomiędzy opoki,
Tam, na sam środek najgłębszej zatoki. —
Teraz odpocznij — dobre masz ramiona,
Podróż i zręcznie, i prędko skończona.
Lecz ona — zacznie podróż dalszą, z której...»

— Rzucili w wodę —

Cieężko plusnęło — i powoli tonie —
Roztopiły się wkoło szklane błonie,
Zważałem ciężar, dziwnie mi się zdało —
Ruszył się — pewnie morze nim ruszało.
Może to było księżycy błysnienie,
Nagle odbite o morza przestrzenie;
Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze,
W mniejsze i węższe ścisnęły się tęczę,
Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;
Na koniec w środku wyszła bańka wodna —
Perłowe kółko — błysnęło — przepadło.
Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.
I tajemnica usnęła w topieli —
Genijuszowie morscy ją widzieli,
Lecz, drżąc z przestachu w swych domach z koralu,
Nic o tym z żadną falą nie gadali.

*

Jak król motylów, za wiosny powrotem,
Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem
Znad szmaragdowej Kaszemiru błoni
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
I z ziół na zioła i z kwiatów na kwiaty
Ciągnie myśliwców, i myli ich czaty,
Wreście uleci i niknąć w obłoku
Zostawia żalność w sercu i łzy w oku:
Podobnie piękność wabi starsze dzieci,
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,
To łowców trwoży, to nadzieją mami,

Gonią wesoło — łowy kończą łzami.
Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada,
I motylowi i piękności biada!
Chcąc uciec darmo skrzydełka nateża,
Igraszka dziecka lub ofiara męża.
Cacko, za którym żądza chciwie goni,
Straciło urok, gdy je mamy w dłoni —
A gdy wdzięk barwy i świeżość przeminie,
Rzucim, niech leci — lub samotnie ginie.
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
Motyl odartym skrzydełkiem czyż może
Latać jak dawniej z fijołków na róże?
Z pięknością, w jednej uwiędłą godzinie,
Czyż razem pokój na wieki nie zginie?
Zgraja motylów, co pod niebem lata,
Nie szuka w dole zranionego brata.
Płeć piękna dla nas ma litości tyle,
Lecz dla płci własnej ma serce motyle!
Piękność nad każdym nieszczęściem łąy leje,
Nad siostr upadkiem — tylko się zaśmieje.

*

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem,
Jest jak skorpion opasany żarem;
Krąg coraz mocniej zwęża się i błyska
I więźnia co raz gwałtowniej dociska,
Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,
Skorpion cierpi, dąsa się — i wścieka.
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:
Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,
Które trucizną pewną rany poi,

Jeden ból zada i wszystkie wygoi,
To żądło, więzień topi w głowie swojej.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje jako skorpion w płomieniach.
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
Światu niezdatni, a nieba niegodni,
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
Wkoło płomienie — a w pośrodku zguba.

*

Ponury Hassan z haremu ucieka,
Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.
On w lasach trudy myśliwców podziela,
Ale nie może dzielić ich wesela. —
Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
Póki Leila mieszkała w seraju.
Dziś, czy Leila uszła? czy nie żyje? —
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
Różne powieści krążą między gminem —
Słysząc, że uszła z Wenecjaninem.
W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,
A z minaretów jasnych lamp tysiące
Bajram na całym obwieściły Wschodzie,
Leila poszła kąpać się w ogrodzie,
I nie wróciła — szukano daremnie.
Mówią, że z Giaurem zeszła się tajemnie,
Wsiadła z nim na koń za pazia przebrana
I w noc Bajramu zbiegła z państw sułtana.

Od dawna Hassan miał ją w podejrzeniu;
Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu
Tyle wyczytał miłości i wiary,

Że znowu brance zaufał pan stary.
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze,
I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerzę,
Tak powiadali czarni niewolnicy,
Niewierni, pańskich haremów strażnicy.
Lecz inni głoszą, że gdy padł mrok szary,
Przy bladym świetle wschodzącej Fingary,
Widziano Giaura na czarnym rumaku
W cwał lecącego po nadbrzeżnym ślaku,
Z cugłem spuszczonego, skrwawioną ostrogą,
Lecz nie wioził panny, ni pazia — ni kogo.

*

Oko jej czarne — i któż się ośmieli
Wzrok ten malować? te oczy gazeli
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
Które ze źrenic lecą przezroczystych
Jako z Dżemsyda rubinów ognistych.
Dusza z nich mówi! wbrew słowom Proroka,
«Że postać niewiast jest ziemi powłoka» —
Allachu! dusza mówi z tego oka!
I choćbym w drodze ku lepszemu światu
Przechodził ostre mosty Alsy ratu,
Wisiał nad piekła ognistym potokiem
I cały rajski ogród miał przed okiem
I w nim wabiące hurysy dziewice,
Powiem: kto widział Leili źrenice,
Ten Alkoranu nauk nie usłucha!
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?
Jest cackiem, z którym bawi się mężczyzna? —
Niech na nią spójrzy sam mufty, a wyzna,

Że nieśmiertelność wygląda z jej żrenic.
Na jej obliczu cudowny rumieniec
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,
Jakby granatów posypany kwiatem.

Jej włosy jako hijacynty płyną;
Gdy okolona rówiennic drużyną,
Stanie, nad wszystkie głową wyniesiona,
I da warkoczom płynąć przez ramiona,
Włosem zamiata ślad swój na marmurach,
Ślad nóżki bielszej niżli śniegi w górach,
Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
I ziemią jeszcze nie skalane świecą,
Jako monarcha ptaków Frangestanu,
Łabędź, podnosi głowę z oceanu
I pysznie skrzydłem uderza po fali,
Skoro dostrzeże podróżnika w dali:
Z taką powagą ona zwraca głowę,
I śnieżne ramię, i piersi perłowe,
I z taką piękną dumą wzrokiem miota,
Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota.
Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą,
Pochlebiać chciały, upadają z trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzyczanka,
Tak miała serce czułe dla kochanka.
Kochanka? któż jej kochanek? — Hassanie,
Ty nim nie jesteś dziki muzułmanie!

*

Ponury Hassan dał rozkaz podróży;
Oddział wasalów, co mu w dworcu służy,

Jak orszak i straż pojedzie za panem;
Każdy z janczarką, z łukiem, z ataganem.
Hassan sam zbrojny jedzie na ich czele,
Zwiesił na pasie krzywą karabelę
Wypróbowaną na albańskich głowach,
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
I tak rozgromił muzułman zwycięski,
Że ledwie kilku uszło z wieścią kłęski.
Za pas dwa zatknął, bogato oprawne
W perły i w złoto, pistolety sławne:
Hassan przed laty dostał je od baszy,
Ich widok zbójców i wabi, i straszy.
Mówią, że Hassan jedzie pojąć żonę,
Pocieszyć znowu serce zakrwawione
Zdradą Leili, co uszła z haremu
I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

*

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
Złocą się góry i kaskada grzmiąca,
Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.
Tu często kupiec Grek staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokim
Pewniej niż w mieście pod swych panów bokiem;
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni;
W miastach niewolnik, wolny na pustyni.
Tu wesół spróżnia czasę pełną wina,
Którym się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar wódz orszaku,
Z daleka widny po żółtym kołpaku,
Opodal konni ciasną jamy szyją

Po krętej ścieżce na skałę się wiją.
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity
I lecą na dół; już zwietrzyli łupy;
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.
U spodu rzeka, która w zimie bucha
Ogromną wodą, a w upały sucha
Nagie i czarne łono swe odsłania
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
Wokoło ścieżki kawały granitu
Leżą bezładnie strącone ze szczytu;
Czas je pospychał, albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie we mgle niewidomy,
Bo żaden z ludzi czoła Lijakury,
W pogodę nawet nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali i po kilku chwilach
Dojdą wierzchołka; już krzyczą «Bismillah!
Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie,
Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie.»
Gdy czausz tak mówił — ogień z góry błysnął,
Nad uchem ołów niewidzialny świsnął,
Tatar przewodnik wyleciał z kulbaki,
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki,
Skoczyli z siodła, janczarki odwiedli,
Ale trzech spadło pierwszej, niżli zsiedli,
Z rąk niewidzialnych rany odbierają
I ginąc, darmo o zemstę wołają.
Dobyli szabel, na rumaków karkach
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
Na pół wciśnieni między końskie boki;
Inni uciekli pod ścianę opoki,
I tam ręcznego czekają spotkania
Nie lubiąc służyć za cel do strzelania

Wrogom, co bronią niewidzialną rażą,
A wstępnym bojem spotkać się nie ważą.

Sam Hassan został; z konia zsiąść nie raczy,
Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy
Blask ręcznej broni; rozbójników zgraja
Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja,
I z tyłu słychać z janczarek łoskotu,
Że mu przecięto drogę do odwrotu.
Więc wściekły brodę od gniewu najeżył,
I wkoło wzrokiem ognistym uderzył.
«Choć wrogi wkoło, choć gęste wystrzały,
Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały»
Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie:
«Rzucaj broń, krzyczą, komu miłe życie!» —
Ale Hassana oczy i rozkazy
Straszniejsze niżli nieprzyjaciół razy,
I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,
Żaden nie rzucił swego ataganu,
I żaden podle nie krzyknął «Amanu!» —
Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą,
Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
A z gęstwi lasu dowódca orszaku
Leci sam przodem na dzielnym rumaku.
Któż ten dowódca? — strój nosi albański,
Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański.
«Znam go, znam Giaura — wściekły Hasan woła —
Znam go, poznałem ze smagłego czoła,
Poznałem czarne złowrogie źrenice,
Jego nikczemnej zdrady pomocnice;
Konia czarnego znam, choć leci pędem,
Chociaż nakryty arnautskim rzędem.
Podły odstępco twojej podłej wiary!
Teraz cię turban nie zbawi od kary.

Gdziemkolwiek spotkał, w jakiegokolwiek chwili,
Dobrze, że spotkał zdrajcę mej Leili.»

Jak się wezbrana rzeka w morze leje,
I morską burzę spotkawszy szaleje,
Łamiał się fale, drżał opoki brzegu,
A nurty ryczą pod pianami śniegu;
Tak się spotkały wrogów zgraje obie,
Losem i gniewem gnane przeciw sobie;
Szable nad uchem grzmią, lecąc w kawały,
Huczą po skałach dalekie wystrzały;
Starcia się łoskot i karabel dźwięki,
Huk karabinów, konających jęki
Echo żałośnie po dolinie szerzy,
Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!
Liczba niewielka, lecz bitwa straszliwa,
Nikt przebaczenia ni daje, ni wzywa.
Paro kochanków, mocne są tve sploty
Gdy się ściskacie podzielać pieśczoty!
Lecz nie tak cisną miłości ramiona
Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,
Jako się barki zwiążą nienawistnie,
Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie. —
Przyjaźń ostygnie, pieśczota się skończy,
Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą po samą rękęjęść uciętą,
Krwia opryskaną i mocno ujętą
W sinej, od ciała odrąbanej dłoni,
Co jeszcze drgała, nie puszczając broni;
Obok turbana, którego zawoje
Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje;
W delji długiej, zmiętej, rozpostartej,
Od mnogich razów na sztuki podartej,

Zaczerwienionej, jak chmury przed burzą,
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;
Krwią zlawszy piasek i gałęzie boru,
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu;
Z piersią przebitą i otwartą ciosom,
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,
Tak leżał Hassan — oczy już zbieleły,
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.
Giaur stanął nad nim i w Hassana lice
Utopił równie straszne dwie źrenice.

«Tak! tyś pochował w falach mą Leilę,
Jam cię pochował w czerwonej mogile.
Jej duch kierował mieczem; jej morderca
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;
Proroka wołał, ale nadaremnie,
Prorok twej głowy nie wyrwie spode mnie.
Allacha wołał, wiatr prośbę rozdmuchał,
Allah nie słyszał, albo nie wysłuchał.
O psie pogański! czyż Opatrzność głucha
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha? —
Zbójcą zostałem! jeździłem na wzwiady,
Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady,
Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą.
A teraz, dalej — w świat — jadę sam z sobą.» —

*

Na polu słyszać brzęk dzwonków wielbłąda;
Matka w ogrodzie z altany wygląda.
Na łąkach błyszczy już wieczorna rosa,
Już ku wschodowi ciemnieją niebios
I rozniecają drżących gwiazd ognisko.

Już wieczór. — Hassan zapewne już blisko.
Matka stroskana zstępuje i bieży
Do swych haremów i pogląda z wieży:
Nie widać! nie zwykł jeździć tak pomału —
Nie zwykł popasać nawet w czas upału.
Nie przysłał darów ślubnych — czy się lenił?
Czy konie strudził? czy serce odmienił? —
Skarga niesłuszna — Już Tatar posłaniec
Widny z daleka, już na skały kraniec
Wstępuje z wolna — już zjeżdża z urwiska
I wąwozami na dół się przeciska.
Koń nic nie winien, koń pewnie z ciężarem,
Zapewnie ślubnym objuczony darem.
Tatara mile przyjmę i nagrodzę
Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie zsiadł Tatar, od siodła odpina
Juki niewielkie: czy to dary syna?
Na twarzy smagłej bladość: czy to smutek?
Czy podróznego utrudzenia skutek?
Odzież spryskana krwi świeżej kroplami;
Może poranił konia ostrogami?
Rozwinął pakę — o aniele święty!
O Azraelu! to zawój rozcięty!
To syna szaty całe krwią zbroczone!
«Pani, okropną twój syn pojął żonę,
Mnie oszczędziły ręce poganina,
Bym ci pokazał krew twojego syna.
Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!
Przekłństwo wieczne zabójcy Giauiowi!» —

*

Turban w kamieniu prostym wyrzezany,
I słup już dzikim zielskiem opasany,
Na nim z Koranu modlitwa wryta,
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:
To cały pomnik w bezludnej ustroni,
Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.
Zacny Osmanlis; nikt między wiernymi
Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,
Nikt bardziej winem nie gardził wyklętym,
I nikt pobożniej ku przybytkom świętym
Twarzy nie zwracał, gdy na świątyn dachu
Słyszał wołanie «Illa-hu, — Alla-hu!»

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany
I śród ojczyzny leży jak wygnany,
Z dala od domu, na bezdrożu dzikiem;
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
Lecz duch Hassana już rajskie dziewice
Wiodą w rozkoszy wiecznej okolice,
Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,
Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.
Biegą, zielone chustki wywijają,
Pocałunkami rycerza witają;
Bo raj rozkoszy zgotowany temu,
Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.
Lecz ty, niewierny! ciebie anioł śmierci,
Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci,
Potem zawlecze na nowe katusze
Przed tron Eblisa twą przekłętą duszę.
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,
Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;
Słuch nie obejmie, język nie obwieści,
Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem
I trup twój, z grobu wylaząc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych spijać krew niewinną.
Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,
Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.
A twe ofiary rozstając się z światem
Poznają, że ich ojciec był ich katem;
Przeklną cię, twoje usłyszą przeklęstwa;
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.
Ostatnia twoja ofiara na świecie
Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię,
Ona konając, krzyknie na cię — «Ojcze!» —
I krzyk ten ściśnie usta dzieciobojcze,
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
Ogień w żrenicach, rumieniec na twarzy;
Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka
Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.
Natenczas ręką przeklętą z jej głowy
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;
Z tego warkocza pukiel darowany,
Może na sercu nosi jej kochany,
A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,
Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwiaą twoją własną, najmilszą ociekły,
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;
A tam upiory, twoi współwędrowce,
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.
I oni twego zląkną się widoku,
I do podziemnych skryją się otworów,

Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

*

Jak się ten zowie kalajor ponury?
Twarz mnie znajoma — raz go napotkałem
W ojczyźnie mojej; leciał między góry
Na dzielnym koniu, pominął mnie cwałem;
Leciał jak tylko zdoła koń wyskoczyć,
Oblicze jezdca ledwie mogłem zoczyć —
Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumnienia.
Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,
Jak gdyby śmierć mu patrzyła spod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.
Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chodził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzicą,
Ani przed ołtarz idzie z kadzielnicą:
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.
Nie wiem o jego przygodach i życiu,
Słyszałem tylko, że przybył ze Wschodu
Tureckim statkiem od stron Carogrodu.
Żeby był Turkiem z twarzy się nie zdaje,
Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje —
Pewnie skruszony jaki apostata
Dziś oplakuje przeszłe błędów lata.

Tylko że świętych obrazów się lęka,
Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka;
Dał wielki skarbiec, który może złupił,
I tym gościnność w klasztorze zakupił.
Lecz gdybym ja był na miejscu przeora,
Albo bym wygnał tego kalajora,
Albo w pokutnej zamurował celi,
Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bezprzytomnie gada
O pięknej pannie, która w morze wpada,
Słyszy szczęk mieczów, strzały nad opoką,
I widzi Turka konające oko.
Ilekoć na tym wierzchu skały stawa,
Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa, —
On sam ją widzi i, czyja, pamięta;
Ręka pałaszem od ciała odcięta
Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
Ażeby skoczył ze skały do fali.

*

Spod mnichowskiego czarnego kaptura
Świeci jak z grobu źrenica ponura,
Czasem z ukosa błyskawicę ciśnie,
I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;
Barwa tych oczu co chwila się mieni.
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni
I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie
Zna swoją wyższość i pokazać umie.
A jako ptaszek, gdy go wąż urzeczy,

Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze,
Tak widz ujęty w sidła jego wzroku
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim wpół trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,
Śmiejąc się, tylko urąga rozpaczy.
Poruszy usta i drżące wnet przytnie;
Widać, że radość już w nich nie zakwitnie
I że uczucie wzgardy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było — trupie jego śmiechy
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.
Okropne lica! jakież być musiały,
Kiedy za młodu namiętnie gorzały?
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozglądał,
Tylko szpetnymi piękne poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,
Znaczno, że dusza nie całkiem szcerniała.

Gmin widzi tylko w tym posępnym oku,
Świadek zbrodni i pieczęć wyroku;
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia
Wielkość umysłu, zacność urodzenia.
Dary niestety zbyt źle umieszczone,
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.
Był to przybytek nie podły, nie mały,
Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,
Ludzie nań lubią poglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach widzi co dzień

I rzadko do nich zagląda przechodzień;
Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,
Co się czarnymi ruinami chmurzy,
Wzbudza podróżnych dumania i żale;
Złamane łuki, opuszczone sale
Wiele o dawnej powiadają chwale.

*

W długiej kapicy fałdy obwinięty,
Z cicha przez kolumn przesuwają się rzędy.
Straszy patrzących i sam strachem zdjęty
Staje i patrzy na święte obrzędy;
Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,
Księża uklękli, cofa się w przysione.
Tam przy niepewnym pochodni promieniu
Twarz jego blada połyska się w cieniu,
Tam będzie czekał, aż się nieszpór skończy,
Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.
Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany.
Kaptur opadły i włos rozczochrany,
Gęsty i czarny bezładnie się wije,
Jakby Gorgona swe najbrzydsze żmije
Wyrwawszy z głowy splotła mu na skronie;
Bo ten kalajor choć mieszka w zakonie,
Ślubu nie zrobił, więc nie strzyże głowy,
I nosi włosy jak człowiek światowy.
Kapiec przywdział jako inne mnichy;
Dał skarb na kościół, lecz zapewne z pychy,
Nie z pobożności, hojnie kościół nadał,
W którym ni razu pacierza nie gadał.
Tam — patrz na niego — w dzwonek uderzono,
Wszyscy uklękli, sakrament wzniesiono;

Stoi jak posąg i widać z postawy
Wyraz rozpacz, wzdargi i obawy.
Ratuj nasz kościół, o święty Bazyli!
Bośmy na karę bożą zasłużyli,
Żeśmy takiego grzesznika wpuścili.
Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia
Człowieczą postać, on tak się objawia.
Te oczy jego, na słowo kapłańskie
Nie są niebieskie ni ziemskie — szatańskie!

*

Serce zbyt czule — do kochania skłonne;
Lecz nie zna, co to kochanie dozgonne,
Długie cierpienia dzielić siły nie ma,
Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma;
A twarde serce gdy miłość skaleczy,
Tej rany nigdy już czas nie uleczy.
Jako rodzimy kruszec od płomienia
Wprzód się rozżarza, niżli zaczerwienia,
Wrzucony w pieca płomieniste jamy
Zgina się, miękczy, lecz zawsze ten samy;
A potem wedle sztukmistrza rozkazów
Służy do dania lub odbicia razów,
Albo pierś twoją przed śmiercią zastawi
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi;
Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,
Ten kto je ostrzy niech ostrożnym będzie!
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca;
Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie,
I pierwej pęknie, niżli się odegnie.

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
 Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
 Pusta pierś czując otchłanie dokoła
 Chce je zaludnić i o boleść woła;
 Bo niedzielone — każde czucie nudne,
 I szczęście samo do zniesienia trudne!
 Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,
 Chcąc mieć pociechę wszystkich znienawidzi.
 I jest to serce jak człowiek w mogile
 Gdyby z letargu zbudził się na chwilę
 I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy
 Odżyłe jego oblicze i oczy,
 I nie miał siły bronić swych wnętrzności
 Od tych szkaradnych, niespodzianych gości.
 To serce jest jak pelikan, gdy leci
 Przez obszar pustyń, do gniazda, do dzieci,
 Krew swą gotowy na żywność im przelać,
 Życie z głodnymi nie skąpy podzielać;
 Już dziobem piersi rozranił szlachetne,
 I widzi tylko swe gniazdo — bezdzielne.

Najsrozsze męki, które nędzni znoszą,
 Samotnej duszy zdają się rozkoszą,
 Sierocej, stepem otoczonej dzikim,
 Trawiącej czucia niedzielone z nikim.
 Któż by był niebios ciekawy widoku
 Bez słońca i bez żadnego obłoku? —
 Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
 Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy,
 I gdy żywioły zakończyły wojnę
 Być wyrzuconym na brzegi spokojne
 W pustą zatokę i bez towarzyszy,

Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale
Niżli żyć gnijąc po trochu na skale.

*

«Tyś dni twe przeżył, ojciec spowiedniku,
Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
A sam nie znając zgryzoty ni troski,
Prócz smutków krótkich zwyczajnych w tym życiu;
Siwy, spokojny jak byłeś w powiciu!
Przeraża ciebie walka uczuć dzika
Ilekoć zajrzysz w serce pokutnika,
Choć jego skargę, jego łzę żałośną
Przyjmujesz w duszę czystą i litośną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bole —
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindzalem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie.
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.

Wkrótce się wszystko skończy tak jak życie,
Zasnę w mogile nie marząc czym byłem,

Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć, żyłbym tak jak żyłem.
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,
Leżą już zmarłe mych rozkoszy chwile,
Lepiej by dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długim i strasznym żywota męczeństwie,
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy lub dzisiejsi tchorze.
Ze śmiercią nieraz spotkałem się z bliska;
Chętnie bym poległ wśród pobojowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szaleń
I kochał sławę, jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,
To innych dzieło; niech rzną się żołdacy
Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;
Choćby mi groził i miecz, i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę.
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera:
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz
Gdym był szczęśliwy i dumny — *a teraz*?

Kochałem ojcie — o, nie — ubóstwiałem —
Lecz to są słowa, słowo często kłamie —
Ja miłość moją czynem pokazałem:
Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie,

To jest krew dawna, dotąd się nie starła,
Przelana dla tej co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta z serca mego wroga,
Nie trwoż się księżu, nie wznosź rąk do Boga,
Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,
Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.
Samo wspomnienie o Maryi synie
Już obudzało złość w tym poganinie.
Głupiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,
Jeśli śmierć ręką chrześcian zadana,
Jest Turkom kluczem rajskiego ogrojca,
Tedy do raju wysłał go zabójca.
I teraz może hurys czarnooka
Witać Hassana u bramy Proroka.

Kochałem — miłość często drogę znajdzie
Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie,
A miłość taka, śmiała na przygody,
Czyliżby miała zostać bez nagrody?
Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem? —
Byłem szczęśliwy w miłości — dość na tem.
A przecież często żałuję — daremnie! —
Wolałbym nie być kochany wzajemnie.
Ona umarła — jak? — o to nie pytaj,
Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,
Bo tu wyryte noszę na mym czole,
Kaima pismem — me zbrodnie i bole.
Ale mnie nie kluj — posłuchaj — ja byłem
Przyczyną śmierci — lecz nie ja zabiłem.
Mógłbym i śmiałym to samo uczynić,
Gdyby kochanka śmiała mi przewinić. —
Jemu niewierna — więc on Ją pochował —
Mnie była wierną — jam go zamordował.
Choć śmierć jej była zasłużoną karą,

Lecz jej niewierność była dla mnie wiarą,
Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach! późnom przybył, nie mogłem jej zbawić,
Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić,
Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić,
Jego śmierć lekka — ale jej męczeństwo
Było dla myśli mych takim straszidłem,
Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.

On zginął słusznie — zrządzeniem wyroków.
On wiedział o tym od swoich proroków,
Których słuch wieszcz y śmierć przeczuwa w dali
I słyszy wystrzał wprzód, nim broń wypali;
Zginął wśród bitwy, zgietku i hałasu,
Bez mąk, bez bólu — cierpieć nie miał czasu.
Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,
Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.
Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem,
On poległ — długo nad leżącym stałem
I duszy jego ujścia pilnowałem.
Konał jak tygrys pokłuty od szczwaczy,
Lecz nie czuł tego, co czuję — rozpaczy.
Szukałem w licu sinym, krwią nabiegłym,
Znaków boleści, — żadnych nie dostrzegłem.
Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą,
Jeszcze wściekłością tchnęły — nie zgryzotą.
Cóż bym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć, jak późna, niedołączna skrucha
Z konającego wywołuje ducha
Zbrodnię — i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić, a nawet pocieszyć.

W krainach zimnych i serca są chłodne,
 Uczuć prawdziwej miłości nie godne.
 W moim gorącym sercu, czucia moje
 Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.
 Nie umiem nucić w żalosnych piosenkach
 O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
 Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
 Ust nieme drżenie, mieniające się lica,
 Serca katownia i głowy szaleństwo,
 Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
 Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindzałem,
 Wszystko, co czułem i co dokonałem,
 Jeśli to znakiem kochania — kochałem!
 Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać,
 Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać.
 Umrę, lecz pierwszej rozkoszy użyłem,
 Niech co chce będzie — szczęśliwy już byłem.
 Mamże kląć losom? jam sprawca mej doli,
 Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli,
 Dziś wróc mi dawne trudy i rozkosze,
 Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę.
 Gotów żyć znowu, jakeśmy z nią żyli,
 Gotów na wszystko — prócz śmierci Leili.
 Życia mojego żałować nie warto,
 Żałuję życia, które jej wydarto.
 Ona spi falmi nakryta chłodnemi!
 Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi, —
 Czemuż to serce schorzałe nie może
 Znaleźć i dzielić jej podziemne łożę? —
 Ach! był to anioł życia i światłości,
 Widzę go dotąd w oczach moich gości,
 Krąży wkoło mnie, wabi mnie i nęci,

Moja zaranna jutrzienka pamięci!

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych;
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosą porywa,
Ale z miłością niebo w duszę wpływa;
Uczucie, które bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy.
Jest to promyczek wszechwórczego słońca,
Korona, duszę wokoło wieńcząca.
Wyznam, że moja miłość była inna,
Była zbyt ziemską, ludzką, nawet gminną.
Jam grzesznik ojciec — lecz ona niewinna.
Ach! ona była mą gwiazdą polarną,
Zgasła, któż teraz oświeci noc czarną!
Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada
I całe szczęście, i wszystkie nadzieje,
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klunie losom i z bólu szaleje,
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach! serce chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!
Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,
Mniejsza gdzie spadnie, wie, że wszędzie męka.

Widzę kapłanie, że tobie obrzydłem,
Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;
I tegom dożył! żem stał się straszylem,
Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.

Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,
Alem się uczył kochać od gołębia,
Umrę nie znając, co kochać raz drugi.
Dobrze by było nieraz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik, co w gajach nuci z wiosny porą,
Łabędź, co zdobi błękitne jezioro,
Mażonkę sobie jedną tylko biorą.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,
Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,
Niech sobie cacek szuka coraz innych,
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny
Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,
Stokroć mniej niżli nieszczęsna dziewczyna,
Którą uwiodłszy zdrajca zapomina.
Nie, ta na sercu mym nie ciąży wina!
Leilo! byłaś myśli moich treścią,
Moją rozkoszą i moją boleścią,
Tyś była cnotą, ty zbrodniami mymi,
Nadzieją w niebie, i wszystkim na ziemi.
Tak piękna jak ty nie była stworzona,
A jeśli jest gdzie, już nie dla mnie ona.
Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnej tobie, chyba samą ciebie.
Życia mojego okropne wypadki,
Łoże śmiertelne, przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham, jak kochałem.
Ty jesteś lubym serca mego szalem.

I jej nie było — a jam z nią nie zginął!
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał,
Wąż pierś mą ścisnął, serce me obwinał,

Myśli me kasał i zemstą napawał.
Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojej wewnętrznej żałoby!
Resztę, kapłanie, wiesz z mojej powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:
Ale mi nie mów więcej o pokucie;
Już późno! bliskiej śmierci mam przecucie.
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,
Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono?
Za łzy pociechy wdzięczen jestem tobie.
Ksiądz nie pomoże nic w mojej chorobie,
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,
Jeśli masz litość nade mną, nie gadaj.
Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,
Ja bym pokutę zaczął od tej chwili,
Kupiłbym zaraz i msze, i odpusty,
I modliłbym się stygnącymi usty.

Pódź do jaskini, gdy strzelcy wychwycą
Z gniazda lwie małe, i rozmów się z lwicą,
Spróbuj ukoić jej żalosne jęki,
Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki. —

*

W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,
W mojej ojczyzny kwitnących dolinach
Miałem — czy mam go dotąd? — przyjaciela —
Daj mu ten pierścień, przysięgliśmy na nim,
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.

Wiem, że mnie kochał — chcę, by się dowiedział
O moim zgonie — on mi przepowiedział. —
Dziwno — on wzrokiem przeniknął proroczym
Przed laty wszystko, co ma ze mną stać się —
Śmiałem się — (wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)
Gdy on ostrzegał — nie pamiętam o czym!
Lecz teraz myślą wyzywam na nowo
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
Powiedz, że zgadnął — będzie mu niemiło,
Że się proroctwo tak na mnie spełniło.
Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętym,
Gdyśmy wesołe przeegrali chwile
Lecąc pospołu w niebezpieczeństw tyle,
Wtenczas bywałem często niepamiętnym
I roztargnionym — może obojętnym —
Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym,
Za jego szczęście pomodlić się chciałem.
Ale cóż taka modlitwa pomaga,
Gdy winowajca za niewinnym błaga? —
Przed ludźmi — niech on sławy mej nie broni,
On, wiem, że dobry — przebaczy — a oni —
Niech co chcą mówią — sława! cóż mi po niej?
Nie będę prosił, aby zgonu mego
Nie opłakiwał — nie jestem tak dumny —
Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny
Jak łza żałośna brata kochanego.
Pierścień ten — niech go z rąk twoich otrzyma,
Wręcz mu i opisz, coś miał przed oczyma:
Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
Łódź falą uczuć na step wyrzuconą,
Zwój pism zatarty — liść z dalekiej strony
Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

*

Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;
Nie, to, mój ojcie, nie było w marzeniach.
Kto marzy, ten śpi; ja wtenczas nie spałem
Jak teraz nie śpię, i zapłakać chciałem,
Ale nie mogłem — źrenica łez głodna,
Czułem, że była wysechła aż do dna,
Chciałem wydobyć z niej łzę, łzę jedyną,
Byłaby dziwną i miłą nowiną;
Chciałem i teraz chcę, lecz rozpacz wzbrania,
Rozpacz silniejsza niżli chęć płakania.
Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę,
Silniejsza rozpacz niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem — i nie żądam,
Nie raju, ale spoczynku wyglądam.

Wtenczas — widziałem ojcie — tak — tu była!
Widziałem dobrze — powstała — odżyła,
Białą, świecącą obwiana symarą,
Jak widzę teraz, tam nad falą szarą,
Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni —
Ona świeciła jaśniej i łagodniej.
Dziś gwiazda świeci słabiej, tajemniej,
Jutro wieczorem wnidzie jeszcze ciemniej,
Ja, nim doczekam jej promieni drżących,
Nieczuła bryła i postrach żyjących,
Ja umrę ojcie. — Już kończąc cierpienie
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.
Tu Ją widziałem, ojcie, i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.
I porwałem się z łóża, i objąłem,
I cóż do mego serca przycisnąłem?

Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,
Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila! to jej postać była!
Kochanko moja jak się ty zmieniła!
Spójrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,
Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś!
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,
Obym cię tylko przycisnął do łona,
Całe me szczęście objąłbym w ramiona.
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną —
Lecz patrz! to ona! to jej szata długa,
Jej ręka śnieżna; patrz, jak na mnie mruga
Tym czarnym okiem; włosy rozpostarła —
Nie — jam nie wierzył — ona nie umarła!
Ale on umarł, ja go sam obalił,
Jam go pochował, kamieniem przywalił —
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry. — Ty? — po coś wróciła?
Oni mówili, że ta twarz jak zorze,
Ta postać śliczna, już zapadła w morze,
I że się nad nią fala szumna leje,
Rybacy mówią — szkaradne to dzieje,
Chciałbym powiedzieć — język mi drętwieje.

Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza,
Szukać dla siebie spokojnego łoża,
Ach, przesun mokrą dłoń przez me powieki
Niech już ostygną, zamkną się na wieki.
Lub rękę połóż na me serce wdowie;
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie,
Zostań oświecać chorego węzłowie,
Odchodząc weźmij z sobą mego ducha.
Potem niech wyje szturm, niech morze bucha.

*

Takie me imię, takie są me dzieje.
Samemu tobie powierzam wyznania,
Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania,
Suche me oko już łez nie wyleje!

Gdy skonam, pogrzeb ubogi mnie sprawisz,
Krzyż tylko prosty na grobie postawisz
Bez żadnych liter — nie chcę, by wędrowiec
Napisy czytać szedł na mój grobowiec.» —

*

Umarł — nie doszedł nikt po jego zgonie
Jak się nazywał; w jakiej świata stronie
Jego ojczyzna; — ostatnie wyznania
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,
I o Leili którą on postradał
I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

Przeczytaj także:

Giaur - Streszczenie szczegółowe

Giaur - Streszczenie krótkie

Giaur - Plan wydarzeń

Giaur - Charakterystyka bohaterów

Giaur - Czas i miejsce akcji

Giaur - Geneza utworu i gatunek

Giaur - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Adam Mickiewicz, Poezje, tom VII, wyd. A. Jełowickiego i Spółki, przejrane i poprawione przez autora, Paryż, 1838